

Pierwszy raz wywieśli nas w 1915 roku. Latem, zanim przyszedł Niemcy, po wsiach jeździły kozackie patrole. — Uciekajcie bracia, germańcy wszystko palą, kobiety gwałcą, piersi obcinają, dzieci do ognia wrzucają, uciekajcie za Bug — tak przekonywali. Popi po cerkwiach bili na alarm. — Ludu prawosławny, uciekaj przed niemieckim antychrystem...

Nasi rodzice zapakowali wszystko na furmanki i przez most na Bugu w Kodniu pojechali na wschód. Do orenburskiej guberni. Tam rozlokowano bieżniaków po wsiach, chłopci orenburscy mieli obowiązek przez pierwszą zimę karmić i pomagać naszym. Potem każdy się jakoś urządził, a później przyszła rewolucja. I każdy marzył, żeby tylko wrócić do siebie, do Okczyna nad Bugiem. Dobrze, że było gdzie wracać. Bo chałupy u nas ocalały, nie tak jak w sąsiednich Kostomłotach, gdzie Kozacy uchodząc przed Niemcami spalili całą wieś. Nie tak, jak w 1956 roku, gdy wracaliśmy do siebie na puste pole, w miejsce, gdzie stał niegdyś rozebrany już nasz dom...

Ale nim do tego doszło był czas międzywojenny. Czas wyboru. Kim jestem — Polakiem czy Ukraińcem, czy też „tutejszym”? Jakiego jestem wyznania — prawosławnego, katolickiego czy nowo utworzonego neounickiego? Podzieliła się wieś. W każdą niedzielę jedna grupka jechała do katolickiej bazyliki w Kodniu, inna do cerkwi prawosławnej w tej miejscowości, a największa — do cerkwi neounickiej w Kostomłotach. Waśni nie było. Żyliśmy zgodnie odmierząc czas porami roku i świętami. A także wylewa-

mi Bugu. Za tą rzeką mieliśmy swoje pola i łąki. Przez most w Kodniu jeździliśmy do stacji kolejowej i stamtąd pociągami do Brześcia. Białej Podlaskiej raczej nie znaleźmy, tereny nadbużańskie ciążyły do Brześcia. A teraz tylko światła wsi Stradecz — leżącej po drugiej stronie Bugu, naprzeciwko Okczyna, widać. I jak wesele urządzią to śpiewają się do nas niesie. I pociąg widać jak jedzie po tamtej stronie do stacji, która nazywa się Kodeń...

Przyszła wojna. Wrzesień oszczędził naszą wieś, ale jak zjawili się Niemcy od razu wyrzucili dzieci ze szkoły i utworzyli w niej wachę Grenschutzu. Cały Bug był obstawiony posterunkami. W Kodniu siedziała policja granatowa, w Zahorowie — Ukraińska Policja Pomocnicza. Ale okupacja minęła spokojnie. Tylko dwie osoby ze wsi straciły życie. Wskutek niesnasek sąsiedzkich ktoś doniósł Niemcom, że ten i ten to komuniści. Obaj pojechali do Oświęcimia i już nie wrócili. Aż dziw, że takie małe straty były, bo przecież nie było niemal nocy, żeby do wsi nie przyszedł sowiecki niewolnik proszący o pomoc w przeprowieniu przez Bug. Z obozów jenieckich uciekali do siebie, a Okczyn był im po drodze. Prowadziliśmy ryzykując życiem, bo przecież

we wsi byli grenschutze. Ale jak nie pomóc człowiekowi, zwłaszcza gdy się wie, że Bug to zdradliwa rzeka, że trzeba znać jej nurt. Partyzantki żadnej nie było, ani polskiej, ani ukraińskiej.

Porządnego strachu najdeliśmy się wiosną 1944 roku, jak front stał pod Kownem i co noc było już słychać bijące działa. Rosjanie zrobili wtedy nalot na Małaszewicze, ale lotnicy coś pomylili i bomby spadły na naszą wieś. Na szczęście uderzyły tylko w stodoły stojące nad Bugiem. Wszystkie spłonęły. A gdyby tak trochę bardziej na zachód — poszłaby z dymem cała wieś. Bo chałupy stały gęsto, jedna przy drugiej. Potem w lipcu 1944 roku, gdy Niemcy cofali się już znad Bugu, chcieli spalić Okczyn. Uratował wieś nasz sołtys, porządny chłop. Wziął kosz z jajami, butelkę bimbru i poszedł do niemieckiego oficera. Okupanci zostawili nas w spokoju. Nie udało się za to sołtysowi uratować wsi w 1947 roku, gdy ogłoszono akcję „W”... Nasza wywózka to też biała plama...

- O akcji „W” na Lubelszczyźnie nie dowiemy się nic z powszechnie dostępnych książek. Przypomnijmy, że chodziło w niej o przesiedlenie ludności ukraińskiej z województw: krakowskiego, rzeszowskiego i lubelskiego na ziemię północne i zachodnie Polski. Tłumaczono ją jako

niezbędny krok do rozgromienia nacjonalistycznego podziemia ukraińskiego — w ten sposób pozabawiano krwawą UPA cywilnego zaplecza. Akcja trwała od 28 kwietnia do 12 sierpnia 1947 roku i w jej trakcie wysiedlono 140,5 tys. osób. O ile w przypadku województwa rzeszowskiego (Bieszczady), krakowskiego czy powiatów — tomaszow-

pow. włodawskiego i białskiego, a nie na terenach nadbużańskich. Ludność podlegającą akcji „W” podzielono na kategorie, w zależności od których mogła się osiedlać po jednej lub kilka rodzin z danej wsi w nowym miejscu. Miejsca osiedlenia nie można było zmieniać.

Ten dzień — 12 maja 1947 roku... Rankiem przyjechała

czekały na nas wagony towarowe. Ruszyliśmy najpierw do Siedlec, a potem na północ, do woj. olsztyńskiego, jak się okazało. Po drodze pociąg coraz stawał, a eskorta rozdzielała przesiedleńców po kilka rodzin z różnych wsi do nowego miejsca osiedlenia. Ja, wraz z 14 rodzinami z Okczyna, 7 rodzinami z Dohrynki i kilkoma z okolic

# Biała plama

skiego, hrubieszowskiego, chełmskiego krok ten miał taktyczne uzasadnienie, o tyle przesiedlenie ludności z Podlasia, z której tylko część miała rzeczywistą świadomość przynależności do ukraińskiej grupy narodowościowej, część określała się jako „tutejsi”, a część ze względów koniunkturalnych przyjęła w czasie okupacji kenkartę „U”, potraktowano jako nieuzasadnioną krzywdę. Zwłaszcza że jedyna działająca w tym rejonie sotnia UPA „Wołodii” miała swoje leże na pograniczu

do wsi wojskowa grupa operacyjna. Otoczyli wieś, kazali sołtysowi zwołać zebranie wszystkich mieszkańców. Dowódca odczytał nam zarządzenie o przesiedleniu na ziemię północne. Za godzinę mieliśmy z całym dobytkiem być gotowi do drogi. We wsi mogli zostać tylko rodziny żołnierzy walczących w Ludowym Wojsku Polskim. Było ich kilka. Reszta zabrała graty, zwierzyne. Podjechały podwozy ściągnięte z okolicznych wsi. W milczeniu jechaliśmy na stację kolejową w Chotyłowiu. Tu

Holeszowa, wylądowaliśmy w gminie Korsze, pow. Kętrzyn.

Nasza nowa wieś już była zamieszkała przez ochotników z Łukowskiego i Krasnostawskiego, a także przez repatriantów spod Wilna i od Grodna. Panie, co to była za zbieranina! Wilniuki mówią „śpiewali”, ci spod Grodna gadałi niemal po białorusku, my zaciągaliśmy „sie” i „cie”, ale w sumie ta zbieranina żyła bardzo dobrze. Nie było żadnych antagonizmów, wszyscy sobie nawzajem pomagali. Bez tej pomocy nie dalibyśmy ra-

dy. W Okczynie zostały zbioru na polu, przyjechaliśmy na nowe bez zboża, bez ziemniaków. Nie było co jeść. Dostaliśmy od władzy trochę kukurydzy, to się podplomyki upiekło. Chałupy najlepsze już były zajęte, dla nas zostały erworaki pofolwarczne, zagrzybione, woda lała się strumieniem po ścianach. Poła też były już zajęte, dla nas zostały

nas kolchozu. Soltys, chłop od Grodna, chodził po chałupach i mówił: — Chłopy, jak będę zwoływał zebranie wiejskie i każę babom przychodzić, to znaczy, że przyjechali zawiązywać spółdzielnię i żaden chłop nie ma prawa wówczas się pokazać. I tak było. Gospodarzyliśmy całe lata stalinowskie na swojej ziemi. Ale po nocach śniły się łąki

Na podstawie instrukcji ministra rolnictwa z 2 sierpnia 1956 roku przesiedleńcy mogli wracać na swoje gospodarstwa wtedy, gdy stało ono puste, nie zostało wcześniej nikomu przydzielone, gdy nowy osadnik rzekł się tego gospodarstwa, gdy gospodarstwo weszło w skład spółdzielni produkcyjnej, a ta się rozwiązała, gdy spół-

Lublinie i Krakowie. Utworzono też dwie komisje wojewódzkie — w Rzeszowie i Lublinie (przewodniczył jej M. Korolko), opracowując zasady powrotu Ukraińców w rodzinne strony.

W pierwszej kolejności przygotowano miejsca dla powracających przesiedleńców w powiatach: Biała Podlaska, Parczew i Włodawa w woj. lubelskim oraz w pow. Gorlice w woj. rzeszowskim. Według obliczeń końcowych „komisji Tkaczowa” do 1 lipca 1958 roku powróciło do woj. lubelskiego 3778 ukraińskich rodzin (na 9479 rodzin przesiedlonych w 1947 roku i na około 4000 złożonych podań o zgodę na powrót). Najwięcej wróciło do pow. białkopodlaskiego — 1940 rodzin, włodawskiego — 1320 rodzin i parczewskiego — 365 rodzin, a 153 rodziny do innych powiatów Lubelszczyzny. (Podaję za magazynem „Zustrzeli” — przyp. aut.).

Więc jak się teraz likwiduje białe plamy, to niech pan opíše jak to było nad Bugiem w 1915, w 1947 i w 1956 roku. Bo starzy odchodzą, a młodzi nie wiedzą. Wymiera nasza wieś. Numerów tu 68, ale rolników już tylko 40. Na palcach jednej ręki można policzyć gospoda-

rzy do lat czterdziestu. Po tej stronie wsi, przy Bugu, to ja już nie mam co po podatek iść. Chyba, żeby tylko kartki starcom roznieść. Po tamtej stronie, od lekarza Martyniuka, to jeszcze jest trochę rolników. Ale i tam stopniowo zdają ziemię za rentę. W ubiegłym roku w sumie 5 gospodarzy oddało ziemię. I ja też! Dzieci poszły do miasta i nie chcą gospodarzyć. Mówią, że tu człowiek ma tylko drogę w jedną stronę, bo w drugą jest granica. Nie ma oddechu. Daleko od miast. Kto tę ziemię będzie uprawiał? Trzydzieści lat temu wracaliśmy tu za wszelką cenę, na tę ziemię. A dziś nie ma ona żadnej wartości, nikt jej nie chce.

Młodzi nie chcą ziemi, młodzi nie chcą kultywować tradycji. Mamy w Kostomłotach wspaniałego swojego księdza — Romana Piętkę. On do monasteru w Jabłecznej idzie, i do cerkwi w Kodniu i do bazyliki w tej samej miejscowości. Wszystkich jednoczy, godzi, zbliża. Przyjechał tu biskup prawosławny — ucałował się z nim, przyjechał biskup Mazur z Siedlec — tak samo. A jak przyjechał do Kostomłot prymas Glemp — co tu narodu było! Ksiądz Piętko jak idzie po koleędzie,

to do każdego domu zajrzy, i do unickiego, i do prawosławnego, i do katolickiego. I nie o pieniądze mu idzie, tylko o wiarę i o człowieka. Społecznie działa dla wsi. Tylko do ślubów nie ma szczęścia. Młodzi nie chcą już sakramentu w obrządku neounickim. Do Kościoła katolickiego idą. Moje dwie córki też nie chciały, choć tu, w Kostomłotach, na chrzcie zapisane. Nie wiem dlaczego, bo ja do dziś pamiętam jaki piękny był mój ślub. To wieńczenie, te korony nad głowami, te śpiewy... Ale to wszystko mija. To, co kiedyś było tak ważne, dziś jakby młodym ciąży, patrzą na nas jak na żywy skansen... Z naszym pochodzeniem, z naszą wiarą, z naszymi obyczajami, z naszą mową, zaciągającą wschodem. Z naszą historią.

Opowiadał: BAZYLI PRUT, soltys (już czwartą kadencję) wsi Okczyn w gm. Kodeń, woj. białkopodlaskie, przez wiele lat radny GRN, przewodniczący Komisji Rolnej rady.

Spisał:

STANISŁAW JADCZAK

# nad Bugiem

odłogi. Wiele w nią wsiątko naszego potu, nim zaczęła rościć. Żeby żyć, chodziliśmy do pracy w sąsiednim PGR, potem jeździliśmy pracować w lesie. Potem odkryliśmy, że wracając z tych prac leśnych można przywieźć z sobą trochę drzewa, no i zaczęło się nam lepiej powodzić.

Wieś była bardzo zgrana. Jak przyszła kolektywizacja, to my jedni w całej gminie stawiliśmy opór. I nie było u

nadbuzzańskie, łągi dębowe i śpiewy w cerkiewce w Kostomłotach. Wszystko w człowieku się rwało do domu.

Puścili jak Ochab, nastał. Już wiedzieliśmy wcześniej, że na naszych gospodarstwach osiedlono repatriantów zza Buga. Ale części gospodarstw nie zajęto — te upadły, budynki rozebrano na opał, drzewa powycinano. Taki był los mojego domu — jak wróciłem, nie został z niego nawet kamień. Wszystko trzeba było zacząć od nowa...

dzielnia jeszcze działała były właściciele mogli zostać obecnie jej członkiem. Wielu przesiedleńców odkupowało swoje gospodarstwa od nowych osadników... Mocą postanowienia Sekretariatu KC PZPR z kwietnia 1957 roku powołano specjalną komisję przy pełnomocniku rządu ds. zagospodarowywania zaniedbanej ziemi. A taką ziemią była ziemia „poukraińska”. W skład „komisji Tkaczowa” (pełnomocnikiem rządu był min. Stanisław Tkaczow) weszli przedstawiciele prezydium WRN w Rzeszowie,